

Tworzę spontanicznie, przylapuję się na tym, że «coś robię». Nigdy niczego nie planuję. Z planów nic nie wynika, wynika tylko fakt, że nie można ich urzeczywistnić. Nie mam i nie miałem żadnych marzeń. Uksztaltowałem się w bardzo trudnych warunkach. Tam marzyło się tylko o ołówku i papierze.

Nie mam poczucia wyższości, mam z pewnością poczucie inności. Inaczej słyszę, lubię inną muzykę, wcale nie zachwycają się tym, czym jako muzykowi wypada mi się zachwycać.

Pracuję w każdych warunkach, tworzenie przychodzi mi łatwo, nigdy nie miałem problemów z pisaniem muzyki czy sztuk. Muzyki niemal nigdy nie poprawiam, sztuki przelicowuję wielokrotnie, ale tylko dlatego, że jest to wspaniałe zajęcie. Najlepiej jest tworzyć we wczesnych godzinach porannych. Wstajesz od biurka i jesteś zadowolony jak mało kto: masz cały długi dzień przed sobą, jesteś wolny.

Jako dziecko i młody człowiek byłem zdziwiony na tle świata. Przyznam się, że ja tego świata nie rozumiem. Jest idiotyczny, jest w cudowny sposób idiotyczny, perwersyjny, niemoralny, uludny. Nie pojmuję, dlaczego ja i podobni mi nie zostali zakonnikami. Moją ucieczką od świata była twórczość. Uprawiam ją tak intensywnie, że o wszystkim zapominam. Zapominam nawet o swoim istnieniu.

Operuję stale nadmiarem, mogę uszczęśliwiać innych, ale nie jest to moja misja. Moja misja zawiera się – prozaicznie – w penetracji możliwości sztuki. Najbardziej kocham swoją wolność. W sztuce robię co chcę. Wszystko, co sięga poza horyzont sztuki, jest dla mnie jakieś takie małe, mialkie, jałowe. Jestem indywidualistą, gdyby nie było muzyki, gdyby nie było teatru, wymyśliłbym dla siebie coś takiego, coś, w czym mógłbym się całkowicie wyżyc. Musiałaby to być sfera dźwięku, słowa, na nią jestem szczególnie wyczulony. I tu wracam do zagadnień uczucia. Moje psychofizyczne ja domaga się uczuć, ale wolę uczucia wyższego rzędu. Na przykład: uczucie podziwu dla muzyki.

To przyjemnie mieć talent, tworzyć z lekkością, ale na to potrzebny jest dystans. Udało mi się utworzyć ten dystans sztucznie. Mam bardzo słabą pamięć, więc nie przywiązuję się do niczego, co zrobiłem. Stale po kilku latach, gdy przychodzi mi zestawić pełny spis kompozycji, dziwię się, że doszło aż tyle utworów nowych. Dziwny ten Schaeffer, po co on tyle komponuje, przecież tego nikt nie potrzebuje. Ale ten drugi Schaeffer – jestem spod znaku bliźniąt, więc podwójny – mówi mi, rób tak dalej, doświadczenie zdobywa się tylko w twórczości, nie w podpatrywaniu innych.

Ja np. lubię, gdy mnie się pomija (nie grano mnie w krakowskiej filharmonii 25 lat, a przecież jestem tu znaną postacią, po prostu takie układy, do których nigdy się nie mieszałem).

Tyle się mówi o niezależności wybitnych twórców, a kiedy im się przyjrzeć, ujawnia się cały splot ich uzależnień: od opinii publicznej, od oficjalnych czynników, od jakichś durniów, którzy mienią się krytykami, straszne to i idiotyczne zarazem. I taki się mieni wolnym twórcą.

To kobiety są poszkodowane, są opuszczane, zniewalane, pomijane, nadal istnieje problem kobiet w życiu artysty. Egoistycznie rzecz biorąc, a także realnie – zawdzięczamy im więcej, niż mogą nam dać. Ile wspaniałych dzieł powstało dzięki kobietom, i dziś kobieta może być muzyką, doświadczeniem tego wielokrotnie. I bez «świadzeń» kobiety są wspaniałe (jeśli chcą). Są – same w sobie – wspaniałym, niepowtarzalnym, z niczym nieporównywalnym impulsem, bez którego nie powstałoby wiele ważnych dzieł. (...) Boleję bardzo nad upadkiem znaczenia kobiet w sztuce, niejednokrotnie dałem temu wyraz w teatrze, stąd sądzi się, że traktuję kobiety jak idiotki. Nie, ja je tylko wiernie odmalowuję: wcale nie zachwycają się portretowanymi przeze mnie (np. w *Mrokach* czy *Zarzy*) kobietami, a traktując je mniej lub bardziej jestem moralizatorem, staram się – w przerysowaniu – przedstawić kobietom ich portret, co mi się udaje o tyle, że klientki teatrów stanowią głównie panie i dziewczęta. (...)

Kilka razy z pewnością otarłem się o sukces. Sukcesem było pojawienie się na szerszym forum z *Tertium datur*, pierwszą na świecie partyturą beznutową, diagramową, na pewno sukcesem były owacje po wykonaniu *Koncertu na organy, skrzypce i orkiestrę*, który – jako jeden z niewielu – napisałem na zamówienie z okazji 300 rocznicy urodzin Bacha. Ale myślę, że o wiele większym sukcesem jest, gdy mnie ktoś gra mimo, że mnie nie zna, a więc z powodu muzyki.

Nie jestem uczuciowy, nie jestem sentymentalny. Życie wytrzebilo ze mnie uczuciowość. Nie mam poczucia wyższości, mam z pewnością poczucie inności. Inaczej słyszę, lubię inną muzykę, wcale nie zachwycają się tym, czym jako muzykowi wypada mi się zachwycać. Pracuję w każdych warunkach, tworzenie przychodzi mi łatwo, nigdy nie miałem problemów z pisaniem muzyki czy sztuk. Muzyki niemal nigdy nie poprawiam, sztuki przelicowuję wielokrotnie, ale tylko dlatego, że jest to wspaniałe zajęcie. Najlepiej jest tworzyć we wczesnych godzinach porannych. Wstajesz od biurka i jesteś zadowolony jak mało kto: masz cały długi dzień przed sobą, jesteś wolny. Jako dziecko i młody człowiek byłem zdziwiony na tle świata. Przyznam się, że ja tego świata nie rozumiem. Jest idiotyczny, jest w cudowny sposób idiotyczny, perwersyjny, niemoralny, uludny. Nie pojmuję, dlaczego ja i podobni mi nie zostali zakonnikami. Moją ucieczką od świata była twórczość. Uprawiam ją tak intensywnie, że o wszystkim zapominam. Zapominam nawet o swoim istnieniu. Operuję stale nadmiarem, mogę uszczęśliwiać innych, ale nie jest to moja misja. Moja misja zawiera się – prozaicznie – w penetracji możliwości sztuki. Najbardziej kocham swoją wolność. W sztuce robię co chcę. Wszystko, co sięga poza horyzont sztuki, jest dla mnie jakieś takie małe, mialkie, jałowe. Jestem indywidualistą, gdyby nie było muzyki, gdyby nie było teatru, wymyśliłbym dla siebie coś takiego, coś, w czym mógłbym się całkowicie wyżyc. Musiałaby to być sfera dźwięku, słowa, na nią jestem szczególnie wyczulony. I tu wracam do zagadnień uczucia. Moje psychofizyczne ja domaga się uczuć, ale wolę uczucia wyższego rzędu. Na przykład: uczucie podziwu dla muzyki. To przyjemnie mieć talent, tworzyć z lekkością, ale na to potrzebny jest dystans. Udało mi się utworzyć ten dystans sztucznie. Mam bardzo słabą pamięć, więc nie przywiązuję się do niczego, co zrobiłem. Stale po kilku latach, gdy przychodzi mi zestawić pełny spis kompozycji, dziwię się, że doszło aż tyle utworów nowych. Dziwny ten Schaeffer, po co on tyle komponuje, przecież tego nikt nie potrzebuje. Ale ten drugi Schaeffer – jestem spod znaku bliźniąt, więc podwójny – mówi mi, rób tak dalej, doświadczenie zdobywa się tylko w twórczości, nie w podpatrywaniu innych. Ja np. lubię, gdy mnie się pomija (nie grano mnie w krakowskiej filharmonii 25 lat, a przecież jestem tu znaną postacią, po prostu takie układy, do których nigdy się nie mieszałem). Tyle się mówi o niezależności wybitnych twórców, a kiedy im się przyjrzeć, ujawnia się cały splot ich uzależnień: od opinii publicznej, od oficjalnych czynników, od jakichś durniów, którzy mienią się krytykami, straszne to i idiotyczne zarazem. I taki się mieni wolnym twórcą.

Nie jestem uczuciowy, nie jestem sentymentalny. Życie wytrzebilo ze mnie uczuciowość. Nie mam poczucia wyższości, mam z pewnością poczucie inności. Inaczej słyszę, lubię inną muzykę, wcale nie zachwycają się tym, czym jako muzykowi wypada mi się zachwycać. Pracuję w każdych warunkach, tworzenie przychodzi mi łatwo, nigdy nie miałem problemów z pisaniem muzyki czy sztuk. Muzyki niemal nigdy nie poprawiam, sztuki przelicowuję wielokrotnie, ale tylko dlatego, że jest to wspaniałe zajęcie. Najlepiej jest tworzyć we wczesnych godzinach porannych. Wstajesz od biurka i jesteś zadowolony jak mało kto: masz cały długi dzień przed sobą, jesteś wolny. Jako dziecko i młody człowiek byłem zdziwiony na tle świata. Przyznam się, że ja tego świata nie rozumiem. Jest idiotyczny, jest w cudowny sposób idiotyczny, perwersyjny, niemoralny, uludny. Nie pojmuję, dlaczego ja i podobni mi nie zostali zakonnikami. Moją ucieczką od świata była twórczość. Uprawiam ją tak intensywnie, że o wszystkim zapominam. Zapominam nawet o swoim istnieniu. Operuję stale nadmiarem, mogę uszczęśliwiać innych, ale nie jest to moja misja. Moja misja zawiera się – prozaicznie – w penetracji możliwości sztuki. Najbardziej kocham swoją wolność. W sztuce robię co chcę. Wszystko, co sięga poza horyzont sztuki, jest dla mnie jakieś takie małe, mialkie, jałowe. Jestem indywidualistą, gdyby nie było muzyki, gdyby nie było teatru, wymyśliłbym dla siebie coś takiego, coś, w czym mógłbym się całkowicie wyżyc. Musiałaby to być sfera dźwięku, słowa, na nią jestem szczególnie wyczulony. I tu wracam do zagadnień uczucia. Moje psychofizyczne ja domaga się uczuć, ale wolę uczucia wyższego rzędu. Na przykład: uczucie podziwu dla muzyki. To przyjemnie mieć talent, tworzyć z lekkością, ale na to potrzebny jest dystans. Udało mi się utworzyć ten dystans sztucznie. Mam bardzo słabą pamięć, więc nie przywiązuję się do niczego, co zrobiłem. Stale po kilku latach, gdy przychodzi mi zestawić pełny spis kompozycji, dziwię się, że doszło aż tyle utworów nowych. Dziwny ten Schaeffer, po co on tyle komponuje, przecież tego nikt nie potrzebuje. Ale ten drugi Schaeffer – jestem spod znaku bliźniąt, więc podwójny – mówi mi, rób tak dalej, doświadczenie zdobywa się tylko w twórczości, nie w podpatrywaniu innych. Ja np. lubię, gdy mnie się pomija (nie grano mnie w krakowskiej filharmonii 25 lat, a przecież jestem tu znaną postacią, po prostu takie układy, do których nigdy się nie mieszałem). Tyle się mówi o niezależności wybitnych twórców, a kiedy im się przyjrzeć, ujawnia się cały splot ich uzależnień: od opinii publicznej, od oficjalnych czynników, od jakichś durniów, którzy mienią się krytykami, straszne to i idiotyczne zarazem. I taki się mieni wolnym twórcą.

Tworzenie przychodzi mi łatwo, nie ma tu żadnego wysiłku, muzykę piszę spontanicznie, jest to mój własny język, którym mówię sprawnie, płynnie, bez problemów. Operuję stale nadmiarem, mogę uszczęśliwiać innych, ale nie jest to moja misja. Moja misja zawiera się – prozaicznie – w penetracji możliwości sztuki. Najbardziej kocham swoją wolność. W sztuce robię co chcę. Wszystko, co sięga poza horyzont sztuki, jest dla mnie jakieś takie małe, mialkie, jałowe. Jestem indywidualistą, gdyby nie było muzyki, gdyby nie było teatru, wymyśliłbym dla siebie coś takiego, coś, w czym mógłbym się całkowicie wyżyc. Musiałaby to być sfera dźwięku, słowa, na nią jestem szczególnie wyczulony. I tu wracam do zagadnień uczucia. Moje psychofizyczne ja domaga się uczuć, ale wolę uczucia wyższego rzędu. Na przykład: uczucie podziwu dla muzyki. To przyjemnie mieć talent, tworzyć z lekkością, ale na to potrzebny jest dystans. Udało mi się utworzyć ten dystans sztucznie. Mam bardzo słabą pamięć, więc nie przywiązuję się do niczego, co zrobiłem. Stale po kilku latach, gdy przychodzi mi zestawić pełny spis kompozycji, dziwię się, że doszło aż tyle utworów nowych. Dziwny ten Schaeffer, po co on tyle komponuje, przecież tego nikt nie potrzebuje. Ale ten drugi Schaeffer – jestem spod znaku bliźniąt, więc podwójny – mówi mi, rób tak dalej, doświadczenie zdobywa się tylko w twórczości, nie w podpatrywaniu innych. Ja np. lubię, gdy mnie się pomija (nie grano mnie w krakowskiej filharmonii 25 lat, a przecież jestem tu znaną postacią, po prostu takie układy, do których nigdy się nie mieszałem). Tyle się mówi o niezależności wybitnych twórców, a kiedy im się przyjrzeć, ujawnia się cały splot ich uzależnień: od opinii publicznej, od oficjalnych czynników, od jakichś durniów, którzy mienią się krytykami, straszne to i idiotyczne zarazem. I taki się mieni wolnym twórcą.

Nigdy nie chodziłem za nikim, to za mną chodzą. Nie mam w sobie nic z przywódcy, ale zawsze mnie słuchano, czytano (tak jak teraz np.).

Prawdę mówiąc, sukces mnie nie interesuje i doskonale rozumiem twórców, którzy nie odbierają nagród (bo ktoś to mnie nagradzał?), nie odbierają holdów, nie przejmują się uznaniem, bo nic – żadna pochwała – nie jest w stanie zrównoważyć wartości wybitnego dzieła.

W swoim – czyli moim – rodzaju ja jestem najlepszy, rozumiem, że nie wszyscy muszą podzielać to zdanie i wcale mi na tym nie zależy.

Czasem wydaje mi się, że jestem Schaefferem i muszę przyznać, że ta autostestia nie jest mi niemiła. Więc jestem z siebie zadowolony. Tak, bardzo. Ale uważam, że mi się w życiu udało. W sztuce nie mam powodzenia, ale mam wielkie szczęście. To mnie przytrafiły się różne interesujące idee, nie komu innemu. Zmieniając się wraz ze sztuką, którą uprawiam. W etyce zawodowej jestem na pewno monolitem, nie interesowałem się niczym poza muzyką, poza sztuką, chroniłem ją – bardzo skutecznie – przed innymi. Inni interesują mnie – i to bardzo, ale przecież nie ich przeżycia. Rozmawiam z jakąś studentką w kawiarni o jej kłopotach, wczuwam się w jej położenie, współczuję jej. Ale kiedy ją pół roku później pytam, czy nadal ma te swoje problemy, słyszę w odpowiedzi «jakie problemy?», więc widzę, że byłem głupi, tak bardzo przejmując się jakimiś problemami, o których dana osoba już kompletnie zapomniała, bo pewnie na horyzontie pojawiły się nowe. Tak więc artysta może sobie pozwolić na słuchanie jednym uchem, nie musi być zbytnio sympatyczny (sympatia, przypominał, oznacza współcierpienie). Innymi słowy, wystrząsać mi moje cierpienia. Podobno samo życie męczy. Niektórych na pewno. Przepuszczam, że istotnie życie jest najtrudniejsze na najniższym szczeblu wegetacji.

Nigdy nie chodziłem za nikim, to za mną chodzą. Nie mam w sobie nic z przywódcy, ale zawsze mnie słuchano, czytano (tak jak teraz np.).